

PĘDŹMY!

IWONA BIELSKA, AKTORKA:

Trzeba pamiętać, ale nie wolno chować urazy.
Życie pędzi, nie da się go zatrzymać
i otulić zamierzchłą historią.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czemu Marlena Dietrich?

IWONA BIELSKA: Fascynuje mnie jako człowiek bardziej niż jako aktorka. Kobieta o niezwykłym, pogmatwanym życiorysie. Podobnie jak Leni Riefenstahl – ona też miała bogaty, ale jakże inny życiorys...

Riefenstahl sama zaoferowała Hitlerowi usługi jako reżyser. Najpierw nakręciła „Zwycięstwo wiary” – dokument o dochodzącej do władzy Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Potem był „Triumf woli” o zjeździe NSDAP, dalej „Olimpiada”, o igrzyskach w Berlinie w roku 1936. Wszystkie te tytuły to dziś klasyka filmu propagandowego.

Mój syn Michał studiował na wydziale operatorskim w Berlinie. Studenci zaczynają tam edukację od obejrzenia „Olimpiady”, jako prekursorskiego dzieła operatorskiego. Jej słynne wykopy przy skoczni w dal – sadowiła w nich kamery, by szkoczek zdawał się frunącym Ikarem. Na stadionie było 48 kamer – rewolucja w świecie filmowym. A potem, już po wojnie, przez politykę została pozbawiona głosu. Francuzi oskarżyli ją o bliską współpracę z nazistami, pogrążyły ją zeznania byłych jeńców z obozów koncentracyjnych – twierdzili, że zmuszała ich do udziału w swoich filmach.

Najpierw trafiła do aresztu, potem do zakładu psychiatrycznego. A gdy była już na wolności, przez resztę ponadstuletniego życia chciała udowodnić, że jest nieprze-

ciętą. Pojechała do Afryki, by fotografować plemię Nuba – albumy z jej zdjęciami to dzieła sztuki. W wieku 70 lat nauczyła się nurkować i kręciła podwodne filmy dokumentalne. I przez całe życie z determinacją próbowała oczyścić się z zarzutu fascynacji nazizmem i Hitlerem.

W sztuce pt. „Marleni”, wystawionej w Teatrze Starym w Lublinie, zagrała Pani Marlenę, która za okupacji opowiedziała się przeciwko Hitlerowi. Występowała dla amerykańskich żołnierzy. Za swoją postawę zapłaciła ogromną cenę – nie mogła już żyć w ojczyźnie. W Niemczech była *persona non grata*. W sztuce Dietrich i Riefenstahl spotykają się jako dziewięćdziesięciolatki. I rozliczają się ze swojej przeszłości.

Wyobraźnia autorki sztuki, Thei Dorn, każe spotkać się tym dwóm nieprzeciętnym kobietom w dniu śmierci Marleny, w jej paryskim mieszkaniu. Obie desperacko bronią swoich życiowych wyborów. O ile decyzje Leni wydają się racjonalne, o tyle wycofanie się Marleny z życia pozostaje tajemnicą. Była bardzo odważną kobietą i tak też myślę o jej zamknięciu się przed światem. Bo trzeba chyba wielkiej odwagi, żeby zdać sobie sprawę ze swojej słabości – w 1972 r., prawdopodobnie pod wpływem alkoholu, Marlena podczas występu spadła ze sceny i złamała kość udową. Wtedy na zawsze zerwała z dotychczasowym życiem, ze sceną, ale nie z piciem. Tego nie potrafiła albo nie chciała.





IWONA BIELSKA (ur. w 1952 r. w Łodzi) ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. Po studiach związana z Teatrem im. J. Słowackiego, Starym Teatrem, Teatru Stu w Krakowie oraz Rozmaitości i Imka w Warszawie. Grała w filmach i spektaklach Mikołaja Grabowskiego, Krystiana Lupy, Pawła Miśkiewicza, Wojciecha Smarzowskiego, Andrzeja Wajdy, Petra Zelenki i Andrzeja Żuławskiego. W styczniu w Teatrze Starym w Lublinie odbyła się z jej udziałem premiera „Marleni” – sztuki wyreżyserowanej przez Mikołaja Grabowskiego, prywatnie męża aktorki.

Wybór Marleny, jakże dla nas oczywisty – w czasie wojny śpiewała w cekinowej sukience piosenki podtrzymujące na duchu amerykańskich żołnierzy – nie przysporzył jej tylko chwały. Część Niemców uważała ją za zdrajczynię, podczas występu w Berlinie obrzucono ją pomidorami, a jej grób bywa do dzisiaj dewastowany. Tymi dwiema kobietami życie miało od ściany do ściany, a one mimo wszystko trwały.

Obie były też niewolnicami swojej legendy. Wkładały mnóstwo wysiłku, by ludzie zapamiętali je jako młode i atrakcyjne.

Każda w skrajnie różny sposób. Marlena przez ostatnie lata nie pokazywała się nikomu – nawet kucharz, który przynosił jej obiady, musiał zostawiać je pod drzwiami. A Leni ratowała się groteskowo dużą ilością botoksu.

Pani rozumie ten ich strach przed przemijaniem?

Z każdym dniem coraz bardziej.

Losy tych dwóch kobiet pokazują, jak artysta zależny jest od aktualnej polityki. Wielu europejskim reżyserom i aktorom historia zablokowała karierę lub doprowadziła do śmierci cywilnej. Pani też odczuła na własnej skórze, co mógł, a czego nie mógł artysta w PRL-u. Potem w stanie wojennym, kiedy odbywał się bojkot telewizji.

→ Pierwszy raz polityka zaingerowała w moje życie artystyczne, kiedy wice-minister kultury kazał przerwać produkcję filmu „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego. Jeśli pyta pani o bojkot telewizji, to w stanie wojennym był dla nas czymś oczywistym. Tylko nieliczni zdecydowali się współpracować z instytucją, która była kłamliwą, partyjną tubą propagandową. Teraz niestety tylko nieliczni dokonują podobnego wyboru z podobnych przyczyn. Postanowiłam dołączyć do tego grona. A w ogóle myślę, że wszystko trochę spsiało. Spisiały stosunki międzyludzkie, życie spsiało. Przepraszam wszystkie psy za wykorzystanie ich do tak negatywnej refleksji.

Aż tak: życie spsiało?

Coraz więcej w nim strachu, lęku o bliskich, coraz więcej chorób, coraz mniej rozmawiamy naprawdę, coraz więcej kłamiemy, udajemy. I ta bolesna – nie tylko dla mojego pokolenia – próba niszczenia autorytetów.

A jak było, kiedy zaczynała Pani u schyłku lat 70. występować na scenie?

Bardziej klarowna była hierarchia wartości. Zresztą nawet przykre epizody, jak np. wyrzucenie mojego męża z funkcji dyrektora Teatru Słowackiego przez władzę ludową, w krótkim czasie zamieniały się w sukces. Zostaliśmy przysparzeni przez Krzysztofa Jasińskiego w Teatrze Stui i tam Mikołaj zrobił kilka spektakli, które graliśmy przez lata przy uwielbieniu publiczności w całej Polsce. Myślę tu np. o „Opisie obyczajów” ks. Jędrzeja Kitowicza czy „Scenariuszu dla trzech aktorów” Bogusława Schaeffera, które to przedstawienie jest swoistym fenomenem, bo panowie – Mikołaj i Andrzej Grabowscy oraz Jan Peszek – grają je po dziś dzień od ponad 30 lat. Byłam wtedy świeżo upieczoną matką i to było dla mnie najważniejsze, wszystko inne było mniej istotne.

Naprawdę?

Jasne. Która rola, nawet niesamowicie zagrana, ma jakikolwiek wpływ na cokolwiek?

Ma chyba wpływ na spełnienie zawodowe.

Tak, ma. Rzeczywiście znam parę osób, które pod wpływem naszych spektakli podjęły ważne decyzje życiowe, np. zo-

IWONA BIELSKA:

Z życiem dobrze jest być pogodzonym.
Nie oczekiwać, nie mieć wiecznych pretensji do świata, nie domagać się bezpodstawnego uznania.
Chciałabym taką postawę widzieć jako naszą narodową cechę.

stali aktorami. Pamiętam też kobietę, która zaczęła mnie na ulicy i dziękowała za „Opis obyczajów”, dzięki któremu, jak twierdziła, przetrwała trudne chwile na emigracji.

Zagrała Pani role nie do zapomnienia w „Królowej i Szekspirze”, „Niewinie”, „Factory 2”... Występowała Pani u Wajdy, Miśkiewicza, Lupy...

...Grabowskiego! To, że zagrałam kilka dobrych ról i dostałam trochę nagród, nie daje mi prawa do poczucia wyjątkowości. Czy to ma jakieś znaczenie? Przecież dzisiaj ludzie, którzy przychodzą zdawać egzaminy na reżyserię, nie wiedzą, kto to był Konrad Swinarski. Jak byłam bardzo młoda, chciałam być wyjątkowa, nietypowa i oryginalna. Studniówkę spędziłam nie na tańcach, lecz z koleżanką w klasie. Słuchałyśmy muzyki poważnej.

No rzeczywiście...

Koleżanka mieszka teraz w Nowym Jorku i jest nadzwyczajnym naukowcem w klinice onkologicznej – prowadzi badania nad lekiem na raka. Aktorstwo zaczęło się dla mnie w liceum. Pisałam scenariusze do okolicznościowych akademii, brałam w nich udział i pamiętam, że spodobał mi się ten rodzaj kontaktu: głos ze sceny – widownia. A później, już po studiach w krakowskiej PWST, wszystko potoczyło się jakoś tak normalnie. Grałam w filmach, dużo w teatrze, urodziłam syna i nastąpiła naturalna przerwa.

To był dobry czas?

Wspaniały! Bardzo lubiłam być mamą. Nie znam żadnych ciemnych stron macierzyństwa. Może dlatego, że nasz syn był pogodnym, niesprawiającym kłopotów dzieckiem. Jest taki zabawny epizod w jego dzieciństwie, który doskonale go charakteryzuje. Jako 6-latek Michał wziął udział w Zakopanem w wyścigu kolarskim dla dzieci. Startowało ich 74. On dotarł na metę dobrą chwilę po wszystkich. Rozglądał się wokół, wcale się nie śpieszył, dostał wielkie brawa. Pytamy: „Misiu, dlaczego tak wolno jechałeś, zatrzymywałeś się, gadałeś z ludźmi?”. On na to: „Ja pędziłem!”. Żył w przeświadczeniu, że wyścig wygrał, bo dostał brawa. Ta jego odpowiedź weszła w nasze życie. Gdy pisał maturę, na esemesa z pytaniem „Jak poszło?” odpisał: „Pędziłem!”. Dyplom za zajęcie 74. miejsca w wyścigu kolarskim zdobi ścianę w naszym domu.

Pozazdrościć życiowej mądrości.

Wie, czego chce. Gdy dwa razy nie dostał się na studia w Polsce, zdecydował, że będzie próbować w Berlinie. Mówiliśmy: „Misiu, ale ty nie znasz niemieckiego”. „To się nauczę”. Zdał, skończył, pracuje w zawodzie. Widzę, że ludzie lubią z nim pracować. Widziałam go raz w akcji na planie: jest uroczy. Nie denerwuje się i nie wrzeszczy. To są prawdziwe sukcesy w życiu.

Są!

Z życiem dobrze jest być pogodzonym. Myślę, że nie oczekiwać, nie mieć wiecznych pretensji do świata, nie domagać się bezpodstawnego uznania – to wielka zaleta. Chciałabym taką postawę widzieć jako naszą narodową cechę, w opozycji do tej, która ciągle domaga się uznania naszej wyjątkowości, lansowania tezy, że jesteśmy wielcy i nieskazitelni, bohaterscy i niedocenieni przez zły, niesprawiedliwy świat. Nie rozumiem patriotyzmu wyrażającego się tylko w wielkich słowach.

A w małych?

W małych to jest dla mnie przestrzeganie na co dzień konstytucji, chodzenie na wybory, niepalenie plastiku i opon w piecach, niewyrzucanie śmieci w lesie, zbieranie psich gównien itp., itd. Słowem, dbanie o najbliższą ojczyznę. I trzeba myśleć. I nie dawać sobą manipulować... Ale to już chyba coraz trudniejsze, ponieważ poziom edukacji w szkołach jest coraz nędzniejszy... Te testy i testy.

W moim łódzkim liceum miałam dwie profesorki – polonistkę i historyczkę – które wywarły na mnie ogromny wpływ. Polonistka, wtedy wydawało nam się, że ma ze sto lat, nosiła dwa różne buty, do których zakładała dwie różne skarpetki. Była cudowną osobą, niektóre jej powiedzenia pamiętam do dziś. Koleżanka usprawiedliwiała się: „Pani profesor, ja wiem, tylko nie umiem tego powiedzieć”. Ona: „Jak nie umiesz powiedzieć, to znaczy, że nie wiesz. Tylko myśl wypowiedziana jest wiedzą”. Powtarzała: „Pamiętajcie, od wzniosłości jest tylko krok do śmieszności”. I przestrzegała nas przed nadużywaniem zaimków rzeczownych...

A historyczka mówiła: „Mogą mnie zamknąć, powiem wam prawdę o Katyniu”. Więc taką wiedzę czerpałam ze szkoły w latach 60.

Poza tym miałam mądry i różnorodny dom.

W jakim sensie różnorodny?

W takim, że o ile rodzina ze strony taty miała korzenie czysto polskie, o tyle od strony mamy była międzynarodową mieszanką. Prababcia była Niemką. Przyjechała do Łodzi ze swoim ojcem, który wybudował tam fabrykę włókienniczą. I w Łodzi prababcia poznała męża – Rosjanina, ponoć adiutanta cara. Pradziadek pochowany jest w Łodzi na cmentarzu prawosławnym.

Czyli Pani pradziadkowie to Niemka i Rosjanin.

Z tych rodziców urodziła się moja ukochana babunia Ania, która następnie wyszła za pół-Francuza. I o ile babcia Ania na co dzień mówiła po polsku, to zawsze liczyła po rosyjsku. Była przepiękną kobietą. Każdego wieczoru kręciła włosy na białku: na palcu robiła kręciołka, przypinała go spinką, na głowę zakładała siateczkę i rano miała gotową fryzurę. Babunia dbała o siebie, zawsze była elegancka – długie paznokcie były zawsze czerwone.

Pałała papierosy przez szklaną, długą fifkę... Dziadek nie znoślił dymu, więc gdy tylko wychodził do pracy, to babunia siadała przed piecem kaflowym, otwierała drzwiczki i wdmuchiwała tam dym z papierosa.

Sprytnie.

Dziadkowie tworzyli komiczne małżeństwo. Babunia miała gest rozdawnictwa, a dziadek był przesadnie oszczędny.

W ich domu było mnóstwo antyków. Babunia zaznajomiła się z panią, której syn zbierał starocie, i sprezentowała mu trzy tulskie samowary. Dziadek mnie męczył: „Powiedz, wiesz, komu babunia dała te samowary?”. Ja: „A jakbym wiedziała, to co?”. Dziadek: „To pójdę, powiem, że ona jest chora na umyśle, i odbiorę”.

Trochę mu się nie dziwię.

Pewnie by tego nie zrobił... Ale dziadek potrafił do absurdu doprowadzić swoją oszczędność: gdy jechał autobusem w określone miejsce, to gdy wracał, tak długo czekał na przystanku, póki nie przyjechał ten sam numer boczny, wtedy nie musiał po raz drugi kasować biletu. Z Elą, moją siostrą, na Gwiazdkę kupowałyśmy mu ich cały bloczek. Ale sam się śmiał z tej swojej wady, wiedział, że to przesada. Jazdę na gapę – co też się mu zdarzało – traktował jako rodzaj hazardu.

Proszę opowiedzieć więcej o rodzinie taty.

Kuzynka dziadka była szpiegiem, w Berlinie została zdemaskowana i zgilotynowana. Natychmiast aresztowano całą rodzinę; to był rok 1942. I mój dziadek, który był kruczo czarny, z przesłuchania wyszedł kompletnie siwy. A jego córki zostały wywiezione na roboty do Niemiec. Babunia na starość, gdy słyszała coś po niemiecku, tak mocno zaciskała ręce, że robiły się sine. Ale nigdy nie wypowiadała złych słów. Czasem myślę, że związek Michała z Niemką byłby dla nich trudny do zniesienia.

Sądzę, że moja otwartość na świat wzięła się z tej rodzinnej mieszanki wielokulturowej.

Jeszcze opowiem o wujku, bracie oszczędnego dziadka Juliana. Wujek miał trzech synów. Jeden był studentem SGH i zmarł na gruźlicę, drugi zginął w kampanii wrześniowej, a o trzecim na początku wojny słuch zaginął. Proszę sobie wyobrazić, że wujostwo całe życie – tak ich zapamiętałam – spędzali na pisaniu do Czerwonego Krzyża, do ambasad, do byłych obozów, do więzień na całym świecie, by się dowiedzieć, co się stało z ich synem.

Dowiedzieli się?

Ciąg dalszy tej historii jest taki: w latach 80. pojechaliśmy do Hamburga, gdzie Mikołaj reżyserował „Emigrantów”. Gdy wracaliśmy do Polski, bagażnik naszego auta koledzy z opozycji załadowali bibułą

i książkami z drugiego obiegu – mieliśmy to wszystko rozkolportować. I tam była m.in. książka zatytułowana „Katyń”. Do dzisiaj trzęsę się na to wspomnienie: czytam listę pomordowanych i trafiam na nazwisko wuja. Jest na liście, został zamordowany w Ostaszkowie. To był właśnie ten trzeci syn. Wujostwo nie doczekali tego momentu. A za życia do głowy im nie przyszło, by szukać go w Rosji, szukali wyłącznie po obozach niemieckich. Moja mama była ogromnie wzruszona, kiedy wręczyłam jej tę książkę.

I jeszcze jedna historia. Siostra babuni Ani wyszła za męża za Żyda. Mama mówiła, że to był jej ukochany wujek. Któregoś dnia sąsiad doniósł Niemcom i wujek trafił do łódzkiego getta. Jego córka Dusia, kuzynka mojej mamy, codziennie jeździła zamkniętym tramwajem przez getto. Stała przy oknie, jej ojciec czekał w umówionym miejscu i machali dyskretnie do siebie. Ale pewnego dnia go nie było. I ciocia Dusia też całe życie szukała po nim śladu. Bezskutecznie. Pamiętam, w Brzezince rozplakała się przy stojącym tam muzealnym wagonie: „Może tutaj tatusia przywieźli”...

Tyle polskich rodzin przeżyło podobne historie.

Ważne, żeby o tym pamiętać, ale ważniejsze, żeby nie chować urazy, nie przeżywać historii do tego stopnia traumatycznie, aby przesłaniała widzenie dzisiejszego dnia. Życie pędzi, nie da się go zatrzymać i otulić pewnie okrutną, ale zamierzchną historią.

Co jeszcze jest ważne w życiu?

Ludzie: bliscy i przyjaciele. I zdrowie. I humor! Może on jest nawet najistotniejszy? Nie należy się sobą tak strasznie przejmować. Jak mówi Leni Riefenstahl: „Z każdym rokiem coraz bardziej oddalasz się od faktów. Aż wreszcie stają się tylko czarna kropka na horyzoncie”. „Gównem mrówki” – odpowiada Marlena.

A przyjaźnie są istotne?

Bardzo. Mam wiele wspaniałych koleżanek. Zanudziłabym panią wymieniając wszystkie. Córka jednej z nich robi teraz karierę jako perkusistka w Stanach Zjednoczonych, gra m.in. ze Stingiem. Pani pytała, co jest ważne. To jest właśnie ważne: gdy naszym dzieciom układa się w życiu.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA